

Prawnik, lobbysta i szofer

**Z Markiem Leśniewskim-Laasem,
konsulem honorowym RP w Bostonie, rozmawia Paweł Kowal**

Urodziłem się w patriotycznej rodzinie. Moje najwcześniejsze wspomnienia to rodzice śpiewający *Pierwszą Brygadę*, *Hej, hej ułani*, *Jak to na wojence ładnie*, *Marsz Mokotowa*, *Czerwone maki na Monte Cassino* – cały repertuar piosenek żołnierskich od powstania styczniowego po drugą wojnę światową. Mój ojciec miał wielki dar opowiadania. Z zapartym tchem słuchałem o tym, jak służył w 10 Pułku Ułanów Litewskich, a w czasie kampanii wrześniowej – w Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej Stefana Roweckiego, jak walczył w powstaniu warszawskim. Dla ojca powiedzenie „Bóg, honor i ojczyzna” to nie był tylko frazes – on naprawdę tym żył. W późniejszych latach kilkakrotnie spotkałem osoby, które znały go z tamtych czasów, i gdy temat schodził na mego ojca, podkreślały jego męstwo, patriotyzm i ideę honoru, którym się kierował. Moja matka także wychowywała się w duchu patriotycznym. Jej ojciec służył w Pierwszej Brygadzie i walczył w bitwie warszawskiej. Był osobą zamożną, ale uważał, że majątek należy wykorzystywać dla dobra Rzeczypospolitej. Mama na tajnych kompletach u siostr zmartwychwstanek w Warszawie została wciągnięta do konspiracji i też walczyła w powstaniu warszawskim. Rodzice poznali się właśnie w powstaniu.

Oczywiście ludzie o takiej przeszłości i takich zapatrywaniach jak moi rodzice nie mogli patrzeć z ufnością i nadzieją na przyszłość w PRL-u, ale stworzyli ciepły, bezpieczny dom, oparty na przyjaźniach sprzed wojny i konspiracji, gwarantując mi spokojne dzieciństwo. Do przedszkola chodziłem do siostr zmartwychwstanek na Żoliborzu. To też miało na mnie duży wpływ, ponieważ siostry jak tylko mogły przemyślały wątki patriotyczne w nauczaniu prowadzonym pod bacznym okiem bezpieki. W szkole podstawowej nr 17 na placu Inwalidów należało być ostrożnym, bowiem często stawiano nam za przykład rosyjskiego pioniera, który doniósł na swoich niepoprawnie myślących rodziców do NKWD, za co partia szczerze go nagrodziła. Do liceum uczęszczałem tylko rok, ale było to ciekawe liceum, gdyż historii uczyła tam Anna Radziwiłł, a uczniami byli m.in. bracia Kaczyńscy i Łońka Fogelman.

Rodzice szybko zorientowali się, że komunistyczny kraj nie ma szans stać się wolnym, suwerennym i niepodległym. Mimo że walczyli o to, by móc żyć w wolnej Polsce, w realiach, w jakich się znaleźli, zaczęli szukać możliwości wyjazdu. Nie było to jednak łatwe. Choć w wyniku wypadków wojennych mieli bliskich krewnych w USA, Amerykanie ograniczali liczbę przyjmowanych imigrantów. Ostatecznie udało nam się wyjechać w 1965 r. W USA skończyłem szkoły i uniwersytety. Zostałem adwokatem i miałem własną kancelarię w Bostonie. Później pracowałem jako *assistant attorney general* w stanie Massachusetts, skąd przeszedłem na stanowisko *deputy commissioner and general counsel* w Department of Medical Security. Następne rozdziały mojej pracy to Stanton Group, prywatna firma działająca w energetyce i ponownie własna kancelaria. W międzyczasie ożeniłem się i urodziła mi się czwórka dzieci. Zostałem pierwszym konsulem honorowym odrodzonej Rzeczypospolitej w Bostonie.

Skąd pan się dowiedział, że w ogóle można być konsulem honorowym? Ich mianowanie było jednym z sygnałów zmian w dyplomacji po 1989 r.

Byli już pierwsi konsulowie honorowi za późnej komuny. Był konsul honorowy Polski na Filipinach i był konsul honorowy w Turcji. Ten drugi opowiadał mi ciekawą historię, że gdy dostał propozycję zostania konsulem jeszcze przecież komunistycznej Polski, to poszedł do swojego ministerstwa spraw zagranicznych i zapytał: „Jak wy na to będziecie patrzyli z tego punktu widzenia, że będę konsulem honorowym komunistycznego kraju?”, na co odpowiedzieli mu: „Polska? A jaki to tam komunistyczny kraj!”. Prawdą jest, że bycia konsulem honorowym państwa komunistycznego nie uważano za wielki honor. W Stanach, jak pan zauważył, nie było w tym czasie konsuli honorowych – były misje zawodowe. I te misje zawodowe, które znalazły się tam po zmianach w 1989 r., przeważnie prowadzone były przez ludzi, którzy nie mieli doświadczenia dyplomatycznego. Byli to albo profesoria, albo żurnaliści, tacy jak Jerzy Surdykowski, który pracował wcześniej w „Nowym Dzienniku” – wspinały człowiek, oddany Rzeczypospolitej, walczył o wolność, stawał na demonstracjach, ale człowiek, który miał z natury rzeczy ograniczoną wizję, możliwości i znajomość dyplomacji czy pracy konsularnej. Tak samo było z ambasadorem Dziwanowskim – wspinały człowiek, ale dyplomata zawodowym nie był i trudno było wymagać od niego, żeby był zawodowym dyplomata. Poznałem Jurka Surdykowskiego i pomagałem mu kilkakrotnie w różnych sprawach związanych z pracą konsularną. W pewnym momencie powiedział mi – bo byliśmy już na „ty” – „Słuchaj,

czy nie zgodziłbyś się być konsulem honorowym?». Zgodziłem się. To był rok 1992, MSZ jeszcze nie bardzo wiedziało, jak te sprawy się prowadzi. To było wszystko unikalne, takie odkrywanie Ameryki od nowa. Procedura trwała dwa lata. Oczywiście strona amerykańska też nie przyspieszała zbytnio tej sprawy, dlatego że ma dość duże wymagania co do kwalifikacji osób na jakiegokolwiek stanowiska dyplomatyczne czy konsularne. Chcą trochę wiedzieć na ich temat i przesyłają taki kwestionariusz. Nie chcę przesadzić, ale robił na mnie wrażenie, jakby miał dziewięćdziesiąt stron albo i więcej – dosyć duży plik papierów, na które trzeba było odpowiedzieć. Przewertowali to, zweryfikowali, sprawdzili i wystawili swoją zgodę, żebym był konsulem honorowym.

Został pan konsulem honorowym w bardzo specyficznym miejscu Ameryki, pełnym znanych uniwersytetów, ale także banków. Był pan już człowiekiem z tutejszego środowiska Polonii. Poproszę o scharakteryzowanie, jak wyglądało wtedy polskie środowisko w tak bardzo specyficznym miejscu, jak Boston.

Polonia, która była jeszcze aktywna i widoczna w latach dziewięćdziesiątych, to była przede wszystkim Polonia drugiej wojny światowej. To byli weterani, bo tutaj, w samym Bostonie, była stosunkowo duża grupa ludzi, którzy przyjechali, żeby pracować w fabrykach – robotnicy. Znikoma liczba osób miała jakiegokolwiek kontakty ze światem akademickim. To były w zasadzie dwa różne światy.

Ale był Barańczak, były też wielkie gwiazdy...

No, był Barańczak. Tak, tak...

Pipes...

Pipes nie był traktowany jako Polak ani w tym, ani w żadnym innym okresie. Pipes nie był nigdy aktywny i przez długi czas nie uważał się za osobę związaną z Polską. Jak pan wie, jego atutem... jego studia to był Związek Radziecki – znał się na Związku Radzieckim, znał się na historii, znał się na polityce i politologii Związku Radzieckiego. Był konserwatystą, dzięki czemu mile widziano go w Rosji i dawał tam wiele wykładów. Jak na ironię Rosjanie ze Związku Radzieckiego nie preferowali lewicowych profesorów – woleli prawicowych. Pipes był osobą ukierunkowaną raczej na Związek Radziecki niż na Polskę i Polonię. Barańczak natomiast jak najbardziej zwrócony był w stronę Polski; pochodził ze środowiska, które walczyło o wolną, niepodległą Polskę... Było wiele osób... No, może to za dużo powiedziane, ale

były dwie, trzy takie osoby, jak Mirek Chojecki, który zjawił się tutaj i przyjeżdżał, a także inne osoby związane na przykład z wydawnictwem NOWA, które znalazły się w Bostonie, szczególnie po wojnie Jaruzelskiego. Były one tutaj jak gdyby taką centralą. I ta Polonia – w zasadzie bardzo aktywna – to byli młodzi ludzie, którzy w wielu wypadkach nie urodzili się w Polsce, tylko w Stanach Zjednoczonych. Byli dobrze wykształceni, ale tworzyli bardzo wąską grupę, powiedzmy dwudziestu, trzydziestu osób. Co ciekawe, ludzie ci byli zwalczani przez ówczesny Kongres Polonii Amerykańskiej, dlatego że nie wpisywali się w tradycyjny schemat tutejszego Polonusa. Polonia jako taka skupiała się w Bostonie przy kościołach. Jeszcze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych polskich parafii i kościołów było tutaj szesnaście. Dzisiaj w samym Bostonie jest tylko jedna parafia polonijna.

Gdy decydował się pan zostać konsulem, miał pan wypracowaną pozycję społeczną i zawodową.

Kiedy zacząłem popierać Solidarność, stworzyłem taką organizację, która nazywała się Support/Supportive Solidarity. Przez pierwsze cztery lata byłem jej prezesem, prowadząc jednocześnie prywatną kancelarię. Ponieważ byłem młodym adwokatem, głodnym pracy w sądach, zacząłem prowadzić obronę w sprawach karnych, które z powodów konstytucyjnych muszą być rozpatrywane bardzo szybko. Miałem pewne sukcesy, które zostały zauważone przez *Attorney General of the Commonwealth of Massachusetts*, czyli kogoś w rodzaju prokuratora generalnego stanu Massachusetts – nie znam polskiego ekwiwalentu. Zaproponował mi stanowisko *assistant attorney general* w dziale ścigania przestępstw gospodarczych w lecznictwie. Pracowałem tam przez cztery czy pięć lat, po czym administracja republikańskiego gubernatora Williama Welda zaprosiła mnie, żebym objął funkcję *deputy commissioner* i *general counsel*, czyli zastępcy albo wicekomisarza i głównego adwokata działu, który odpowiadał m.in. za finansowanie szpitalnictwa. Tak znalazłem się na wysokim szczeblu administracji jako adwokat i radca prawny.

Jednocześnie mając praktykę adwokacką?

Nie, prywatna praktyka kolidowałaby z pracą w urzędzie. Pełniłem więc urząd, aż odezwała się do mnie firma, która starała się zaistnieć na rynku energetycznym w Polsce. Może słyszał pan o sławnym Powerbridge? Zaprosili mnie, żebym został ich głównym adwokatem i w rezultacie objąłem stanowisko wiceprezesa do spraw prawnych. Choć rzeczywiście sprawowałem pieczę nad ich sprawami prawnymi, to *gros* moich działań stanowiły negocjacje

i rozmowy w Polsce, na Litwie, w Austrii i Niemczech Wschodnich związane z ich planami rozwoju szeroko pojętych systemów energetycznych.

W momencie gdy zostawał pan konsulem honorowym, zajmował się pan biznesem?

Pracowałem jeszcze w stanie Massachusetts. Przypominam sobie, że musiałem poprosić stan o zgodę, żebym mógł przedstawiać innego suwerena. Rząd federalny Stanów Zjednoczonych nie pozwala, by ich pracownicy pełnili funkcje konsuli honorowych, ale w stanie Massachusetts zależy to od gubernatora. Złożyłem taką prośbę i przychylił się do niej, żebym pracował dla stanu Massachusetts i reprezentował innego suwerena, czyli Rzeczpospolitą Polską.

Jak wyglądał wtedy pana dzień pracy? Jaki był styl pracy konsula honorowego?

Było to bardzo obciążające, ponieważ konsul honorowy jest wolontariuszem, w zasadzie może sam decydować, co będzie robił, a czego nie będzie robił. Może ewentualnie powiedzieć swojemu konsulowi generalnemu: „Przepraszam bardzo, ale tego nie mogę zrobić, bo nie mam czasu”. Ja starałem się tego nie robić i istotnie było to dosyć trudne. Teraz prowadzę o wiele mniejszą działalność zawodową, co pozwala mi poświęcić więcej czasu sprawom konsularnym, a tych jest bardzo dużo. Prawie codziennie pojawiają się pytania, jak załatwić wizę do Polski, bo akurat w stanie Massachusetts jest bardzo dużo studentów z Chin (teraz widzi się wielu podróżujących do Polski Chińczyków), Indii czy Pakistanu, którzy potrzebują wizy, żeby móc wjechać do strefy Schengen. Ludzie pytają też o paszporty, potwierdzenie obywatelstwa polskiego czy w ogóle szeroko pojęte sprawy obywatelstwa polskiego – pytają jak to zrobić, proszą o pomoc i informacje. Są też sprawy drobniejsze, jak dokumentacja, potwierdzenie dokumentów: jak przygotować dokumenty, żeby miały w Polsce moc prawną, np. gdy ktoś musi przedstawić w Polsce jakąś umowę czy akt urodzenia, który został wydany w Stanach Zjednoczonych.

I jak to funkcjonuje? Ma pan swoje biuro? Kto panu pomaga?

Przez wiele lat miałem biuro w samym centrum Bostonu, przy Milwaukee Street. Teraz prowadzę je z domu. Gdy nastąpiła era internetu, ludzie przestali przychodzić osobiście – wszystko załatwiane jest przez e-mail, telefon i strony internetowe. Ale nie powiedziałem panu o dosyć istotnych sprawach, a mianowicie że bardzo dużo prowadzonych przeze mnie działań dotyczy kontaktów

z Polonią, lokalną społecznością żydowską, światem akademickim i biznesem. W mojej gestii leżą także sprawy turystyki i kultury, choć szczególnie w tej drugiej sferze staram się przekazywać pałeczkę organizacjom polonijnym, które zajmują się polską kulturą, sprowadzają tutaj pianistów, wokalistów czy organizują jakieś przedstawienia.

To chyba najbardziej znana forma działania konsula.

Gdy przyjeżdża do Bostonu delegacja polskich parlamentarzystów lub rządu albo w ogóle jakieś ważne osoby z Polski, to proszą o jakąś tam pomoc. Wtedy konsul honorowy jest też trochę kierowcą i asystentem – jeśli trzeba, przyjeżdża na lotnisko, odbiera, zawozi do hotelu, z hotelu na spotkanie, ze spotkania do hotelu, z hotelu na lotnisko...

A bardziej się pan przez te lata zmęczył czy przyzwyczaił do tej roli?

Raczej się przyzwyczaiłem. Daje mi to możliwość poznawania ludzi.

W momencie gdy dobrze funkcjonujący adwokat i urzędnik stanowy decyduje się na rolę...

Szofera...

...często spotykają go ludzie z kraju, którzy nie rozumieją tej roli. Potrafią być niegrzeczni?

Nie, niegrzecznych raczej nie spotkałem, miałem za to możliwość poznania wielu bardzo ciekawych osób: ludzi polityki, postaci historycznych, ciekawych naukowców... Rzadziej, ale też się zdarzało, ludzi związanych z gospodarką, przemysłem...

A teraz patrzemy na te dwadzieścia pięć lat...

Jeszcze nie ma dwudziestu pięciu lat, ale już niedługo...

Gdyby pisał pan swoje wspomnienia, to jaką akcję, jaką sprawę przedstawiłby pan jako najtrudniejszą? Nie chodzi mi o jednostkowy przypadek, ale taką sprawę, która toczyła się dłużej.

Taką najtrudniejszą, która dużo mnie nauczyła, było wejście Polski do NATO. Nie spodziewałem się... Wydawało mi się rzeczą naturalną, że Polska zostanie przyjęta jako wolny, niepodległy, suwerenny kraj; wejście do NATO dlatego, że wymaga tego geopolityka krajów zachodnich – i Europy, i Stanów Zjednoczonych. Jak się jednak okazuje, nie było to tak oczywiste,

wręcz przeciwnie. Jeżeli spojrzymy na historię, to wiadomo, do czego prowadzi geopolityka. Po drugiej wojnie światowej uwarunkowania geopolityczne były bardzo mocno podkreślane i widać było, że dla Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych ważna jest granica na Łabie, a nie na Bugu...

Ja chciałem powiedzieć, że w jednej sprawie nie odniósł pan sukcesu. Nie przekonał pan Richarda Pipesa, by poparł rozszerzenie NATO...

Istotnie, prowadziłem z Richardem Pipesem debaty, i to publiczne. Nie wiem, czy przekonałem go, że Polska powinna wejść do NATO, ale Polska weszła do NATO. Kiedy po naszych debatach rozmawiałem ze słuchaczami, w wielu wypadkach mówili mi: „Masz rację, Pipes się tak wypowiada, bo jak zniknie – jeszcze zanim zniknął Związek Radziecki – to jego *raison d'être* przestaje istnieć”. Złośliwi mówili, że Pipes broni Związku Radzieckiego, żeby miał o czym pisać.

A może pan powiedzieć trochę więcej o tym okresie kampanii NATO-wskiej? To jest rzecz mało znana i chociaż wszyscy wiedzą, że było to ważne, wszyscy wiedzą, że był to ambasador Jerzy Koźmiński...

Tak, Jurek Koźmiński dokonał cudu! To, co on robił, jak on był w to zaangażowany, z jaką fantazją, wiedzą, subtelnością on to robił, to można by bardzo dobrą książkę napisać. On by mógł napisać tę książkę. Byłem pełen podziwu dla Koźmińskiego. Wiedział, jak stworzyć tę drużynę, która za nim stała, i choć był w niej najważniejszy i wiele, bardzo wiele spraw ułatwiał osobiście, nie obciążając nimi innych (*chapeau bas!*), to miał też dobrych ludzi, którzy z nim współpracowali. Cały zespół konsularny i dyplomatyczny był w to zaangażowany – każdy działał w tej sprawie. Ja też miałem w to – tutaj się pochwalę, jeśli można – taki malutki wkład. Otóż senatorowie federalni nie chcieli dopuścić, żeby Stany Zjednoczone wyraziły zgodę na rozszerzenie NATO i akcesję Polski, twierdząc, że nie popiera tego amerykańskie społeczeństwo na najniższych szczeblach. Zaprosiłem więc Jurka Koźmińskiego, ambasadora Koźmińskiego na spotkanie z marszałkiem senatu stanu Massachusetts. Dobrze go znałem i przygotowałem do tej rozmowy, prosząc, żeby senat stanu przegłosował ustawę, w której twierdzi, że społeczność Massachusetts żąda, by rząd federalny doprowadził do przyłączenia Polski do NATO. Było to lokalne poparcie, ale ważne. I rzeczywiście – senat stanu Massachusetts zrobił to. Poproszono mnie, żebym napisał, jak ma to wyglądać. Ja to napisałem i dodałem, żeby przekazać tę ustawę nie tylko amerykańskim senatorom, ale też do polskiej ambasady i do mnie osobiście.

I stała się śmieszna rzecz: zostało to powielone przez Polonię i różne osoby w innych stanach, gdzie też albo izby niższe, albo senaty parlamentów stanowych przegłosowały te ustawy, kopiując słowo w słowo tę, którą przyjęto w Massachusetts. I tam też napisane było, żeby konsulowi honorowemu w Bostonie przesłać ksero! W jakimś Marylandzie czy gdzieś indziej!

A jeśli chodzi o środowiska żydowskie? Od czasu do czasu w okresie III Rzeczypospolitej pojawiały się problemy, np. kwestia restytucji mienia, reakcje amerykańskich Żydów na jakieś wypowiedzi w Polsce albo reakcje Polski na ich wypowiedzi? Jak wyglądała praca ze środowiskami żydowskimi?

Z mojego punktu widzenia – bardzo dobrze. Zaprzyjaźniłem się przede wszystkim z American Jewish Committee, ale i z innymi organizacjami. AJC jest najbardziej wpływowa. W tym roku miałem z nimi trzy czy cztery spotkania. Jak pan wie, przeszła teraz ta nowelizacja ustawy o IPN-ie, co wzbudziło tutaj dosyć duże poruszenie. Wielokrotnie byłem proszony, żeby wytłumaczyć im, o co chodzi. Muszę jednak stwierdzić, że jakkolwiek nastawienie tych środowisk jest bardzo ostre – nie przesadzę, jeżeli powiem, że potępiają tę ustawę – to zawsze były one otwarte na wysłuchanie tego, co miałem im na ten temat do powiedzenia. Tutejsza organizacja żydowska Vilna Shul zaprosiła American Jewish Committee, żeby wypowiedział się o tej ustawie. 3 kwietnia miałem w tej sprawie spotkanie z dyrekcją i *board of directors*, czyli całą administracją AJC, i ponad godzinę im wszystko tłumaczyłem. Wydaje mi się, że częściowo załagodziłem napięcie. W takich sytuacjach decyduje także osobiste zaufanie.

Mówił pan, że najważniejsza była sprawa wejścia Polski do NATO. A gdybyśmy zrobili taki ranking, jaka byłaby druga i trzecia?

Na pewno bardzo trudnym tematem są stosunki polsko-żydowskie. Czasami postawy antysemityczne pojawiały się także wśród Polonii. Prowadząc panel w Vilna Shul, miałem na sali trzech Żydów amerykańskich i Żydówkę z Polski. Zadałem im pytanie, jak widzą antysemityzm w Polsce. Odpowiedzieli, że w Polsce jest antysemityzm, ale nie tego typu, co we Francji czy Niemczech. W Polsce nikt nikogo nie bije, a w dodatku jest tam bardzo dużo filosemitów. Wyszło w zasadzie bardzo pozytywnie, a przecież było to spotkanie wśród Żydów, gdzie tylko ja byłem osobą spoza. Dość duży problem mamy z tym, że niektóre środowiska polonijne potrafią być bardziej antysemityczne niż obecne polskie społeczeństwo. Amerykańscy Żydzi,

którzy nie jeżdżą regularnie do Polski, nie widzą, co się tam dzieje, więc mogą wyrobić sobie przekonanie, że Polacy są tacy, jak ludzie, których spotkali na ulicach Bostonu, Nowego Jorku czy innych miast. To jest duże wyzwanie.

Co pańskim zdaniem należałoby zmienić w instytucji konsula honorowego? Czy ta funkcja powinna być skrojona jakoś inaczej? Co by pan radził ministrowi spraw zagranicznych?

Pierwsza rada, to nie traktować tytułu konsula honorowego jako nagrody – od tego są odznaczenia państwowe. Trzeba wziąć do pracy osobę, która jako wolontariusz chce zrobić coś dla Polski. To nie musi być nikt zasłużony, przed kim musimy chylić czoła i coś dać. Na konsuli powinno się wybierać ludzi, którzy chcą pracować regularnie. Nie są opłacani, bo nie są, ale mają jakąś swoją działkę i niech pracują w niej dla Rzeczypospolitej. Po drugie, uważam, że nie trzeba wybierać konsuli honorowych według tożsamości etnicznej. Wręcz przeciwnie, powinni to być ludzie głęboko zakorzenieni w społeczeństwie, w którym działają. Jeżeli jest to miejsce, gdzie są uniwersytety – wybrać amerykańskiego profesora. Jeżeli to jest miejsce, gdzie są szpitale – wybrać amerykańskiego lekarza, najlepiej takiego z górnej półki. Nawet nie prosić go, żeby zbyt dużo robił, tylko żeby otwierał drzwi w swojej dziedzinie. Tam gdzie jest biznes, wziąć dobrego biznesmena, żeby to robił. Austria na przykład jako konsula honorowego w Bostonie ma chasydzkiego rabina, który otwiera wszystkie drzwi do społeczności żydowskiej. On Austrii broni i jest przedstawicielem austriackiej wizji świata oraz jej spojrzenia na Stany Zjednoczone. I on to przedstawia, przedstawia swojej społeczności żydowskiej z wielkim sukcesem. Polska też powinna podchodzić do tego w taki sposób, a mam wrażenie, że w wielu przypadkach konsul honorowy to zasłużony Polonus, którego jedni Polacy lubią, a inni są mu przeciwni i tak bez końca. Ze względu na podziały wśród Polonii czasami lepiej, gdy weźmie się czystego Amerykanina i wszyscy powiedzą: „No tak, to Amerykanin. On jest znawcą od tego czy tamtego i pomoże Polsce”.

Dziękuję.